

CZŁOWIEK, choć istota tak bardzo — jak mówią — bogata i skomplikowana, to jednak potrafi wymyślić nie tak znów wiele i stworzyć również niebyłoby wiele różnych sytuacji. Naprowadza nas na to badanie mitów greckich i różnych innych starożytnych historii. Wprawdzie wiele się zmieniło od tamtych czasów, to zrozumiałe; ale marzenia, tęsknoty, przeróżne wewnętrzne procesy, świadome i nieświadome, jawne i ukryte, a także miłość, i zwłaszcza śmierć — nie przekształciły się tak dalece jak świat, który nas otacza. Stąd te zgryźliwe czasem uwagi, że to już było, a to wszyscy znają, że historia się powtarza... Trudno. Przeżywamy wiele rzeczy i spraw tak samo, jak przed paroma tysiącami lat; tyle tylko, że w innych wariantach, z komplikacjami, w coraz bardziej nieprawdopodobnych odmianach. A w mitach greckich i innych starożytnych historiach wszystko jest o wiele prostsze, jaśniejsze, elementarne.

Istnieje taki sposób patrzenia na rzeczy, który pozwala mity greckie z grubszą podzielić na dwie grupy: te dla filozofów i polityków, i te dla kucharek. Nie mam zamiaru znieważać tu przedstawicieli cennego i pożytecznego zawodu. Ale przyjęło się w naszej chłodnej i cynicznej epoce trzymać dystans do spraw serca i sentymentu. Zwłaszcza wśród ludzi rozumu nie przystoi mówić dobrze o tych sprawach, choć wszystkim one dotyczą. Stąd ta pogarda do tej części naszej osobowości, którą mamy wspólna



na scenę świat wypycha ją z życia.

Dziś wyobrażamy sobie Greków z czasów mitologicznych jako osoby grające na lutniach i tańczące wśród kwiatów. Musieli oni jednak wiedzieć o życiu coś takiego, co spowodowało, że kazali swojemu Orfeuszowi szukać ukochanej aż w Hadesie, nie wyprowadzić jej stamtąd, i spotkać się z nią

Andrzej Jarecki

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

ze wszystkimi kucharkami świata. Kogóż nie wzruszy mīt o Orfeuszu, o jego wielkiej miłości, która zaprowadziła go poza granice życia, za próg śmierci? Lecz kto się do tego przyniża lub przyniża się bez zastrzeżeń? Choćby to było tylko takie małe zastrzeżenie co do mentalności kucharek...

Dlatego zdumiewająca jest ta szalona prostota, z jaką Jean Anouilh każe mówić swoim bohaterom, Orfeuszowi i Eurydyce przeniesionym w czasy dzisiejsze, o ich miłości do siebie. Zdumiewające, jak proste i piękne mówią oni słowa, jak bardzo otwarcie siebie pragną. Tragicznie, okrutnie ta ich miłość się nie udaje. Z surową, potworną konse-

dopiero po śmierci. Zaś Anouilh, współczesny dramaturg francuski, transponując mīt do współczesności, z pewnością wie o życiu swego świata dość wiele, by nie znaleźć w nim miejsca na wielką, prawdziwą miłość Orfeusza i Eurydyki. Jest w jego sztuce ogromny, oskarżycielski protest przeciwko ohydzie mieszczaństwa, przeciwko brudowi mieszczańskiej moralności, która plugawia uczucie, która je uniemożliwia. Nie jest szkodliwy, jak niektórzy sądzą, pesymizm bijący ze sztuki Anouilha. Szkodliwie jest natomiast mieszczaństwo. Nie można patrzeć na mieszczaństwo optymistycznie. Dlatego też niepotrzebna, drażniące i głupie jest zakończenie sztuki, które zobaczyliśmy

na premierze w Teatrze Powszechnym. Dowiadując się z niego, że cała tragedia miłości Orfeusza i Eurydyki była tylko snem, zaczynamy patrzeć optymistycznie nie tyle na miłość, co na mieszczaństwo! Włęcz jednak nie jest tak źle, powiedamy sobie, więc jednak nawet w tych warunkach ci młodzi będą się naprawdę kochać... A już tak późno byłismy zbudowani! Bardzo proszę osoby, od których to zależy, by sztuka kończyła się śmiercią. Śmierć Orfeusza to protest, a nie agitacja za samobójstwami.

Muszę prostodusznie oświadczyć, że wzięła mnie ta sztuka wyjątkowo. Zawdzięczam to zapewne Zofii Kucówny, która była Eurydyką. Nie bardzo piękna z wyglądu, była w tej roli tak piękna, że takich chyba na świecie nie ma. Tak piękna można być chyba tylko w oczach zakochanego. Może to jest jej największym zwycięstwem w tej roli. A przecież warto opisać jeszcze jej uśmiech i oczy, jej prostotę i szczerłość, jej strach — a przede wszystkim jej gesty, gdy wchodziła za Orfeuszem do pokoju hotelowego, powtarzając wszystkie jego ruchy. Ta scena była też najlepszym chyba osiągnięciem reżysera.

Partnerem Kucówny w roli Orfeusza był Tadeusz Janczar, bar-

do sympatyczny i prosty, może niezbyt głęboki, ale dobrze obsadzony, trafnie nie narzucający się indywidualnością. Znacomity był Bogusz Bilewski w roli Pana Heri, tajemniczego opiekuna zakochanych. Jest to postać — jeszcze raz użyjemy tego słowa — ze smukłymi, Bilewski zagrał to znakomicie, z chłodnym dystansem, z ironiczną wszechwiedzą — i z prawdziwym przejęciem tam, gdzie oskarżał podłość świata.

Przedstawienie miało wiele doskonałych epizodów — czuje się w tym ręce mądrego reżysera. Wybił się tu na czoło Mieczysław Serwiński, słabszy w pierwszym akcie, za to doskonały w monologu końcowym. Bezbledna sylwetkę cynicznego i spródnego impresaria Dulaca pokazał Czesław Byzawski. Natomiast nie udało się trudne do zagrania role słych aktorów w życiu i na scenie, matki i ojczyma Eurydyki. Janina Martini i Stefan Rydel zbyt szarłowali i splaszczyli obie te ciekawe sylwetki.

Inszenizacja „Eurydyki” dokonana przez Jacka Szczęka, bardzo sprawna i ciekawie oprawiona plastycznie przez Krzysztofa Rankiewicza, umiętnie i z wyczuciem ważyła sprawę między poezją a życiem. W jednym tylko miejscu przerwał ją przykry zgrzyt, gdy przed aktem czwartym na scenę pojawiła się brzydka techniczna, zmieniając dekoracje. Ten obcy wtret przerwał tok wyobraźni, zniweczył starannie nagromadzone w widzach wrażenie. Lepiej było tego uniknąć.

Jeszcze raz wnoszę prośbę o zmianę zakończenia.